Po 12 godzinnej podróży pociągiem dotarliśmy do straszliwego miejsca zwanego Gandhidam. Tak, straszliwe, to jedyny przymiotnik, który przychodzi mi na myśl. Zaraz po wyjściu na peron zostaliśmy zaatakowani nie przez tysiące, ale przez miliony much i muszek, które wlatywały nam do uszu, penetrowały plecaki, wkradały się pod ubrania. W głowie został mi obraz bosego chłopczyka stojącego nieopodal z matką. Muchy miał wszędzie, wchodziły mu do oczu i spacerowały po rączkach i nóżkach. Chłopczyk nawet nie reagował. Jak widać ze wszystkim da się żyć. Rikszami dojechaliśmy na dworzec autobusowy. Obraz nędzy i rozpaczy. Nie wiem, być może to dlatego że jest wcześnie rano, a wschodzące, nieśmiałe słońce potęgowało wrażenie brudu i biedy w tym miejscu. Na szczęście to tylko przystanek, bo zaraz ładujemy plecaki na dach i wsiadamy do trzęsącego się na boki autobusu wiozącego nas do małej mieściny zwanej Bhuj.

Od razu polubiłam to miejsce. Miasto całkowicie różne od tych, które do tej pory widzieliśmy, nieturystyczne, zwyczajne i wyjątkowe w swojej prostocie. To nie taki nasz Kraków, bardziej, no nie wiem, Siemianowice Śląskie. Przecież nikt nie przyjeżdża do Polski żeby zwiedzać Siemianowice. Ludzie tutaj nie gapią się tak bardzo, nie zaczepiają na każdym kroku, starając się nakłonić do zakupu kolejnej bransoletki czy kiczowatej bluzki. Są spokojni i przyjaźni, tak jakby już dawno zrozumieli wszystko i jakby wiele już widzieli. Mam takie wrażenie, że to właśnie są Indie, a przynajmniej ich namiastka. Pierwszego dnia udało nam się zobaczyć zespół Pałacowy, w tym Aina i Prag Mahal, piękne budowle, które niestety ucierpiały znacząco w trzęsieniu ziemi, które miało tutaj miejsce w 2001 roku. Po wszystkich zabytkach i ulicach można poznać od razu efekty tego nieszczęśliwego zdarzenia. Dalej leżą tutaj gruz i kamienie, budynki są do połowy zwalone, niektóre nieco odrestaurowane. Sprawiają wrażenie jak gdyby czas się dla nich zatrzymał, a teraźniejszość ich nie dotyczyła. Przechadzając się po spokojnych, brudnych uliczkach wyobrażam sobie dawną świetność tego miasta, za czasów kiedy było ono jeszcze miejscem handlu, tętniącą życiem stolicą Księstwa Kachchh. Popołudnie spędziliśmy na szukaniu ogrodów pałacowych ostatniego króla Kachchhu. Zgubiliśmy się trochę ale jak to wielcy geografowie, w końcu udało nam się dotrzeć na miejsce, gdzie mieliśmy bliskie spotkanie z setką nietoperzy wyglądających na nas z koron drzew dawnego ogrodu botanicznego króla. Wieczór większość z nas spędziła na praniu i porządkowaniu rzeczy, korzystając z zatrzymania się w hotelu dłużej niż na jedną noc.

Bhuj (czyt.: b<półniemeH>udź)

Małe miasteczko. Turystów nie ma, nareszcie traktuje się nas jak ludzi, a nie chodzące dolary (wielkie uproszczenie, zwykłe wrażenie). Bhujanie (?) uśmiechnięci i otwarci. Jest sporo „piekarni”, z których jedną tylko nazwałabym piekarnią z prawdziwego zdarzenia – stoją tam ciastka i torty biszkoptowe przekładane sztucznie barwionymi kremami, kiczowate, jeśli można tak powiedzieć o jedzeniu (klucz kluczy: „Everything is possible in India”), a mimo to prawie zachęcające. W rzeczywistości słodycze indyjskie z piekarnikiem nie mają wiele do czynienia. Za szybą sklepowej wystawy sauny zażywają rozłożone na tacach wyłożonych folią aluminiową kulki/kwadraty/romby/sześciany/kluski w przeróżnych pastelowych barwach, obsypywane orzechami bądź polane lukrem, a to z resztą nieważne, bo wszystkie powstały z tej samej jednorodnej masy orzechowo-cukrowo-mlecznej, która przed zastygnięciem daje się formować, a po zastygnięciu kroić. Z resztą formowanie „po

zastygnięciu”, przy temperaturze powietrza 40 C również nie powinno sprawiać większej trudności.

Jedną z atrakcji miasta stanowi jezioro, które aktualnie wyschło, a w okolicy pustynia, która aktualnie stanowi hektary słonego błota.

Zabawne są tutejsze świątynie. Tradycyjne schodkowej budowy wieże, zdobione rzeźbami, bielone z ornamentami we wszystkich najradośniejszych kolorach tęczy, albo kolorowe bez wytchnienia, bez skrawka bieli czy szarości. Bajkowe – Raczej jakby próbowano stworzyć je na potrzeby pewnej bajkowej krainy, która zaczęła umierać, bo dzieci przestały wierzyć w magię. Aż z bajki został tylko kurz, brud, i te kolorowe świątyńki.